



Wobec groźnych scen, rozgrywających się w Warszawie i innych miastach Królestwa Polskiego, wobec hłobowych wieści, które niemal co rano i wieczór przynoszą nam dzienniki, listy i telegramy, rzemiosło kronikarza młodego słomę miejscowych powszednich zdarzeń i stosunków, staje się straszną torturą. Serce przygniecione zmorą krwawych, zakordonowych wypadków, nie odczuwa wrażeń najbliższego otoczenia, nie jest w stanie wysnuwać z niego wątku pospolitej gawędy tygodniowej. Myśl — jak ptak zraniony, który bezwiednie powraca tam, gdzie go zabójcza strzała dosięgła — odla'uje nieustannie w strony, kędy bratnie tłumy bezbronnego ludu wystawiały piersi na kule i ostre razy rozbastwionego, pijanego żołdactwa moskiewskiego. Przytrzymywanie jej wysiłkiem woli na miejscu, sprawia mękę nieznośną, a jednak zmusić ją trzeba, by spoczęła na sprawach i faktach lokalnych, bo chociaż w tak niezwykle jak obecnie chwili wydają się one małymi i ma'nymi, stanowią jednak ogniwa w łańcuchu duchowego życia narodu, od których uwagi odwracać nie sposób. W danym, właściwym momencie konieczność o nich mówić należy. „Czas traci, czas płaci” — twierdzi mądrość zbiorowa w samym przysłowiu. Gdyby jutro rozstrzygnięte zostały bez naszego współdziału w dyskusji i przemieniły się w kamień obrazy lub w szkodę publiczną, musielibyśmy sobie wyrzucać, że nie pokonałszy gwałtem bólu i troski, aby wypowiedzieć zdanie, mogące zaważyć na szali postanowień. Przewidując nawet z góry, że jej nie przechylimy w stronę słuszności i prawdy, wygłosić je przecież jesteśmy obowiązani, choćby dla uspokojenia własnego sumienia... Jedną zaś z takich spraw właśnie, pomimo pozornej drobnosci, uważaną jednak powszechnie za pierwszorzędną i na dobie, jest wybór nowego dyrektora teatru na przyszłe sześć lat — jej więc dziś poświęcamy lwią część naszej kroniki.

Prezydent starego podwawelskiego grodu, dr. Juliusz Leo, w myśl uchwały rady miejskiej, wezwał kandydatów ubiegających się o dzierżawę teatru krakowskiego, by osobiście, lub na piśmie zwracali się do niego w celu porozumienia się o warunki, na jakich objąćby chcieli przedsiębiorstwo. O ile wiemy ma ich być kilku. Jednym, jedynym, którego inteligentny ogół pragnie (powiadamy to bez ogródek), jest tylko Tadeusz Pawlikowski. On tylko, jak wszystkim wiadomo, mógłby dawny blask instytucji przywrócić i wznieść ją na poziom artystyczny, na jakim stała w czasie jego dyrekcyi; on jeden rozporządza moralnymi i materyjalnymi środkami i warunkami, których od naczelnego kierownika teatru krakowskiego wymagać należy... Pomimo to jednakże, mówią ludzie, że nie chce postawić swej kandydatury, chociaż... chociaż, zgodziłby się może objąć dyrekcyę, gdyby reprezentacja gminy na jednym ze swych publicznych posiedzeń oświadczyła się za nim wyraźnie i szczerze — nie obwijając życzeń swych w dyplomatyczną bawelnę. Dzięki wyjątkowym stosunkom, jakie u nas panują, uchwałę podobną powitanoby w najszerszych kołach miejskich i krajowych — w pośród tych, którzy zasiadają w łóżach, jak między tymi, których widzujemy na parterze i galerji. najżyczliwszym grzmiącym oklaskiem.

Czy w gronie innych kandydatów, są tacy, którzy bez „ale” mogliby uczynić zadość swym wymaganiom? Równie otwarcie jak wyżej, odpowiadamy: w ogólności, nie. Tu jednak baczyć trzeba na odcienia i gradacje, może subtelne, lecz na które rada miejska zechce prawdopodobnie zwrócić uwagę. Przedewszystkiem — wyłączoną być z wyboru powinna dyrekcyja obecna, która w ciągu upływających lat sześciu dowiodła sromotnie, że jest nieudolną, doprowadziła bowiem scenę naszą do zupełnego upadku. Z kolei idzie p. Ludwik Sol-ski, doskonały artysta i zdolny reżyser, lecz... wymienione przymioty, jakkolwiek bardzo znaczące i cenne, nie wystarczają u nas na naczelnego kierownika teatru. Ani on, ani grono jego przyjaciół, doradzających mu zajęcie cierniami usłanego trawnika, nie zdają sobie sprawy z zawodów i rozczarowań, jakie go na nim czekają. W walce z przeszkodami wewnętrznymi i zewnętrznymi, już teraz na niego czyhającymi, talent jego, lubujący

się w częstych popisach, wyjdzie osłabiony, jeśli nie starty zupełnie — zwłaszcza, gdy się przekona, że obecnie w środowisku, jakim jest Kraków, do wprawiania w ruch prawidłowy (tak w teatrze, jak poza teatrem), całej instytucyjnej maszyny — niezmiernie wrażliwej na nagłe i niespodziane fluktuacje opinii, na splendor etyczny, majątek, oraz indywidualne i towarzyskie dostojęństwo kierownika — potrzeba stanowczo, prócz tych, jakie posiada, jeszcze innych kwalifikacyi, których zdobycie lub nabycie leży poza sferą jego danych, woli i wpływów. — Trzecim głośno wymienianym kandydatem jest p. Edmund Rygier. W naszym mniemaniu szanse jego wydają się o wiele pomyślniejsze od szans innych współzawodników. Tak krytycy dziennikarscy, jak publiczność — zwłaszcza mieszczańska — usposobiona jest dla niego życzliwie; w starym znajomym widzi siłę, może nie błyszczącą, ale realną. Cieszy się on w Krakowie opinią człowieka „solidnego”, uczciwego, wytrwałego i inteligentnego. Zasłużył w rzeczy samej na szacunek, prowadząc przez lat kilkanaście teatr polski w Poznaniu, możliwie najlepiej. Przychodzi nie obarczony długami; przynosi do przedsiębiorstwa znaczny kapitał własny, zdobyty pracą; wyróżnia się bystrym zmysłem administracyjnym i zdrowym rozsądkiem, pod wpływem którego kroczyć zamierza drogą pośrednią nie ulegając zbyt łatwo żadnemu skrajnemu kierunkowi, a jedynając sobie wszystkie. Po Tadeuszu Pawlikowskim — powiedzmy znowu szczerze — jest nietylko kandydatem zasługującym na uwzględnienie i uznanie, lecz może nawet poniekąd pożądanym.

Na nim jednak lista ubiegających się o teatr krakowski nie kończy się jeszcze.

Pan Wilhelm Feldman, w ostatnim najnowszym zeszycie Krytyki zgłasza na własne ryzyko i w własnym imieniu — kandydaturę czwartą. „I'ó co szukać, albo udawać, że się szuka, pisze on z właściwym sobie fantazyjnym rozmachem — po co konkursowa komedia nie wesoła i licytacja mało budująca. Wszak Kraków ma w swoich murach artystę, który na kierownika wielkiej sceny jest stworzony, który scenę krakowską jednym rzutem potrafi dźwignąć na wyżyny, przez najsmielsze tylko umysły wymarzone. Mowa oczywiście o Stanisławie Wyspiańskim”. Jakże słusznie wołał niegdyś Wenecyanin, gnijący w wilgotnych lochach pałacu dożów: „Boże, broń mnie od przyjaciół”. Nigdy może tak zwana „niedźwiedzia przysługa” nie była dla nikogo równie dotkliwym ciosem, jak nieoczekiwany zamach p. Feldmana na spokój i twórczość malarza i poety, któremu nie śniło się pretendować o kolcami nabite krzeselko dyrektora na proscenium. Oderwać go, wbrew upodobaniom i wrodzonym usposobieniom, od miłych zajęć, aby rzucić w rozdrażniający nerwy chaos życia teatralnego, jego zakulisowych intryg, skandalicznych zawiązków i gorączkowej pracy... ależ to byłaby zbrodnia, prawdziwa zbrodnia! Nikt dlań sroższej katuszy nie mógłby wymyślić! A cóż począłby z elementarną techniką zadania? Przecież, jak każdej w innych zakresach sztuki, nauczyć się jej potrzeba, udoskonalić doświadczeniem! Intuicyja, nawet najgenialniejsza dać jej nie może. Co innego czuć kiedy niekiedy nad wystawieniem własnego dramatu lub poematu, namalować do niego dekoracyę i wzory kostyumów, a co innego stale, moliwie i cierpliwie scenizować dzieła obce o rozmaitych charakterach i stylach. Autor „Bolesława Śmiałego” nawet na próbach swoich utworów przekonał się niezawodnie nieraz, jak trudno akcyi, uczuciom, namietnościom, symbolom i słowom, nakreślonym w ciszy pracowni, w chwili twórczego podniecenia, nadać odpowiedni ton i plastykę sceniczną, tę plastykę uchronić od karykaturalności i wprost sprzecznego z zamierzonym efektem. A dla wiąca polot poetyczny atmosfera stosunków pozateatralnych, chociaż z teatrem ściśle związanych, owe pertraktacye, kompromisy i układy z radą miejską, cenzurą, władzami administracyjnymi, komisją artystyczną i prasą? Wszakże do tego wszystkiego potrzeba także mieć pewne doświadczenie i rutynę.

Nad całym ogromem przykrych i żmudnej działalności dyrektorskiej p. Wilhelm Feldman nie zastanawiał się widocznie, ogłaszając swój impresyjny artykuł, bo p. Wilhelm Feldman jest człowiekiem krewkim, o ognistym temperamencie. Gdy jaką sprawę poślubi i uzna za swoją, broni jej z płomiennym zapałem, co zresztą mu się chwali bo w czasach dzisiejszych zapał, choćby udany, jest rzeczą rzadką. Ale on z jednaką gorączką hołdował różnym, o różnych cechach i kierunkach. Był kosmopolitą i pozytywistą namietnym, metafizykiem i narodowcem zagorzałym; jako autor no-

wel i powiastek z życia (pisywanych niegdyś z niezaprzeczonym talentem pod wpływem bezpośredniej obserwacyi) tworzył według formuł dokumentalnego naturalizmu; jako dramaturg bez talentu i zmysłu scenicznego biegł z początku śladami Bałuckiego, następnie deptał z wysiłkiem drogi, które Przybyszewski wytyczył, jako recenzent zaprawiał się w metodzie bezgranicznych zachwytów, wynosząc pod niebiosa „Nafetę”. jedną z najsłabszych powieści Sewera, a przygotowywawszy się tym sposobem do zawodu krytyka i historyka krytyki, zaciągnął się do szeregów szkoły symbolicznej i jako bardzo świeży wyznawca jej zasad, sprzeczných z jego przekonaniami społeczno politycznymi, pieje obecnie na cześć symbolu hymny pochwalne. Z różnych wiar, w przeróżne bogi Parnasu, każda pozostawiła w jego umyśle mały korzonek, uparcie trzymający się mózgu; każdy zaś z owych korzonków, chociaż skazany na zatrącenie, puszcza kiedy niekiedy, kły i gałązki, które — jak bluszcze w lesie oplatające gęsto rosnące wrzosi — płaczą się w chaotyczne kłębki barwnych i błyskotliwych frazesów, często bezmyślnych i kreślonych polskimi wyrazami, chociaż nie polskim językiem. Reklamując bardzo zrećznie i wytrwale siebie samego przede wszystkim, wielbi Stanisława Wyspiańskiego, co mu się także chwali; chciałby go widzieć wszędzie i zawsze na pierwszym miejscu — więc i kierownictwo teatru pragnie mu powierzyć, nie rozumiejąc, że tym sposobem właśnie, nie przynosząc ani sobie, ani społeczeństwu korzyści, wyrządziłby pocie i malarzowi straszną krzywdę, mogącą zdruzgotać siły moralne i fizyczne artysty.

Nie krepowani żadnymi osobistymi względami, ani jakimkolwiek bądź afektem koleżeńskim, ani uprzedzeniem i niechęcią, mając jedynie dobro instytucji na celu, wypowiedzieliśmy szczerze i otwarcie mniemanie nasze o kandydatach na dyrektora teatru, sądźmy bowiem, że w chwili, poprzedzającej wybór jednego z pośród nich, w tych dniach dokonąć się mający, należy mówić prawdę... tylko prawdę, choćby ta mogła nie podobać się więcej lub mniej interesowanemu osobom, towarzystwom wzajemnej admiracyi i klikom.

Od przedmiotu, który z powodu swej momentalnej aktualności wymagał obszerniejszego omówienia, przechodzimy do innego, wielce również oddawna aktualnego, niezmiernie ważnego dla naszego miasta, z dziwnym zaś uporem przez rząd lekceważonego. Wyższa szkoła przemysłowa w Krakowie — jedna na Galicyę zachodnią, a rodzajem i planem wykładów może poniekąd i na kraj cały — mieścić się musi w starym, szczupłym, niewygodnym budynku, nie odpowiadającym zakresowi jej potrzeb i wymagań. O należywym rozwoju naukowego zakładu w gmachu obecnym marzyć nie można. Sprawa, od lat wielu zaniedbywana, domaga się koniecznie rychłego rozstrzygnięcia. To też życzliwie powitać należy podjęcie jej na nowo przez prezydenta dra Juliusza Leo, który w ubiegłym tygodniu zwołał konferencyę, złożoną z profesorów powyższej szkoły i kilku radców miejskich, w celu zainicjowania energicznych kroków, skłonić mających rząd do najrychlejszego rozpoczęcia budowy, niecierpliwie przez ogół nasz oczekiwanej. Przypuszczać wypada, że głos poważnego grona, oddziału tym razem w Wiedniu skutecznie i doprowadzi do pożądanego rezultatu. Byłby to w rzeczy samej fakt pocieszający na smutne czasy bezcelowych manifestacyi, siejących rozterki społeczne, z których chyba tylko „król pruski” skorzysta. Gdyby decyzyja ministerjalna zapowiedziała budowę gmachu już na tegoroczną wiosnę karnawałujący o choczko Kraków miałby prawo bawić się dalej z czystym sercem, ciesząc się radością i zyskiem, jaki z postanowienia odniosłaby ucząca się młodzież, przedsiębiorcy budowlani i robotnicy, dla których otworzyłby się nowy, a tak konieczny warsztat zarobkowania. Tymczasem gród nasz i filia jego Zakopane bawia się jakby „na zaliczkę”, ale coraz zwawiej, coraz zawrotniej. Rogi ulic pokrywają się codziennie szajnistymi afiszami, zapowiadającymi nowe pikniki i bale, w pośród których prawdopodobnie prym trzymać będą: rabczański, kupiecki i artystyczny. All right!

Verax.

